



**Биuletyn
Otrvcki 15**

OD REDAKCJI

To już piętnasty numer Biuletynu Otryckiego, a pierwszy o zwiększonym nakładzie - ufamy, że dość szczególny, jak i czas, w którym się ukazuje. Nasza intencją było przygotowanie specjalnego numeru, który w okresie letnim, kiedy zainteresowanie Otrytem siłą rzeczy wzrasta, reprezentowałby Klub i Chatę przed "nowymi" ludźmi. Stąd obecność form literackich /opowiadanie, poezje/ powstałych w środowisku, których prezentacja /a właściwie wstęp do prezentacji/ przybliżyć by mogła ogół przeżyć i zjawisk kojarzących się z hasłem Otryt.

Z drugiej strony przedstawiamy materiały przygotowane specjalnie z myślą o wakacyjnej lekturze - arcyciekawy tekst Bachelarda i stary przepis na barana. Kontynuujemy też cykl polemiczny sprowokowany wystąpieniem Andrzeja Wiórko publikując kolejny głos w dyskusji. Tym razem głos Jareckiego.

Z przyczyn niezależnych od redakcji BO zabrakło tu kolejnego odcinka: "Mojej historii Otrytu" Leszka Filipowicza.

Starać się będziemy trzymać taki kurs dalej. Myślimy więc już o kolejnych numerach - miejmy nadzieję, że coraz celniejszych.

Dziękujemy wszystkim, którzy nam pomogli w przygotowaniu tego numeru - mamy nadzieję, że na tę pomoc będziemy mogli wciąż liczyć.

Redaktor

Inaczej się to wszystko odbyło. Otryt tego lata pojawił się w moich planach niespodziewanie i zupełnie po wariacku. Nie był moim celem. Miałam tam być tylko przez chwilę, w przelocie, w biegu. Wykalkulowałam sobie, że zrobię to, co mam do zrobienia i pójdę dalej, dalej gorączkowo podbijając nowe szlaki. A jednak - zostałam. Coś usidliło mnie i zatrzymało. Co? Miejsce, czy ludzie? Czy da się to wogóle to rozdzielić? Może ludzie stali się sobą dzięki miejscu? A miejsce - czyż nie jest takie, jakim stworzyli je ludzie?

x

Najpierw powolutenku szliśmy sobie od Lutowisk. Myśli, zwykle męczące i natrętne, rozleniwily się i przestały zupełnie zwracać na mnie uwagę. Uciekały na boki jak luzem idące koniki, swawoliły, dokazywały. Wołałam za nimi, ale na próżno. Nagle jedna zatrzymała się i patrząc mi w oczy z głęboką troską zagadnęła: - Dokąd ty się spieszysz? Zobacz, jakie piękne są te drzewa...

x

Wiedziałam już wtedy jak wygląda Chata. Pamiętałam ciepły blask ognia na twarzach, ciemną noc. Jakieś strasznie silne uczucia, doznane przyjaźnie z lat szczenięcych, które umarły, gdy tylko rozeszły się nasze drogi.

To był taki dom, o jakim marzyliśmy wtedy wszyscy; trochę egzaltow. Ni, zbyt poważni, przejęci pierwszą własną interpretacją kawałeczków świata. To były Bieszczady, o których każdy słyszał, ale których nikt dobrze nie znał. Strzępki rozmów, powieści, pomieszane i niejasne oszałamiały wyobraźnię. Każda droga nosiła na sobie ślady ludzkich stóp, a ze zdziczałych jabłoni zrywały owoce niewidoczne ręce. To były Bieszczady - namiastka przeszłości i przestrzeni ciągnącej się hen, na wschód, gdzieś aż po Kijów, miasto o pożółkłej barwie starych fotografii.

x

Kilka lat minęło. Z dawnego oczarowania nie pozostało już wiele. Drzewa są rzeczywiście piękne, ale można je podziwiać także w innym lesie, w innych górach. Czyż nie wywoływały zachwyty brzozy nad dalekim, północnym jeziorem? Jakże łatwo można było je oswoić, uznać za łwasne. Przez te kilka lat starałam się oswajać wszystko, co stało na mojej drodze: kamienie pokryte serpentynami znaków, zamki o białych ścianach i jeszcze kilka małych w skalistym wąwozie. Nie mając niczego własnego starałam się posiadać wszystko.

x

/Mm.../ Ale w Chacie lepiono właśnie pierogi, wspaniałe, pyszne pierogi z twardego ciasta. /Cdybym była o tym wcześniej wiedziała.../ Pachniało tu umiarkowaną pracą, a z kąta w kąt ciągały się...

długowłose, brodate, czasem półnagie stworzenia. Klusek nałożono mi pełną miskę, co szczerze mnie ucieszyło. Króciutki rekonesans... Zażerający obok ludek zdawał się tworzyć zwarty, zgodny, a miłujący się wzajem klan, ale przy wielkim stole zostało jeszcze trochę miejsca. Nie za dużo, ale i nie za mało. Ot, w sam raz jak dla mnie.

I tak, w miarę jak brązowały buki, zaczęłam coraz bardziej wsiąkać w atmosferkę, w mity i bajdy o pradawnych czasach, kiedy to herosi wstąpili z nizin aby dać początek wsz ystkiemu. Dni w Chacie następowały po sobie kolejno, a każdy trwał od wschodu do zachodu słońca. Czas po zachodzie zwano wieczorem i czczono szczególnie uroczyście ślicznymi śpiewami i waleniem w struny.

A potem, z każdym opadającym z drzew liściem ubywał ktoś. I nagle zrobiła się jesień.

x

W taki sposób ludzie z Otrytu zafascynowali mnie jako pewien gatunek. Dopiero później zaczęłam ich poznawać osobno. Nabierali ciała, wypełniali się różnymi cechami, które raz mi się podobały, a innym razem zupełnie nie. Wypowiadane zdania wlewały się jak welony za swoimi właścicielami. Opowiadali mi o sobie, albo ja im o czymś i bywało, że czas upływał na przyjaznej pogawędce. Jedni chcieli ze mną rozmawiać, inni trochę mniej, a jeszcze inni - i to i to. Zaczęłam odróżniać różne rodzaje wódek i taki która wywołuje sny. Niektóre sny były słodkie i śniły się same. Nie potrzebowałam nawet zasypiać. Nie myślałam też o dnie butelki.

x

A w górach było już biało. Nogi grzeźły głęboko w śniegu. Zmrok zapadał szybko i łatwo było zmylić drogę. Przestrzeń, jak to zwykle zimą skurczyła się, wpatrywałam się więc uważniej w twarze. Wysysaliśmy szpi z wątków płomieni świec, twarze nasze były więc jasne i ciepłe. I pomyślałam sobie - jak dobrze. Wkrótce będzie wiosna, a potem lato i znów jesień.

I zrobię sobie naszyjnik z głogu i tarniny.

x

x

x

- zamieszczony wyżej tekst to próba literackiej wrażliwości Otryt-
czaków, której płodów /mając w pamięci ideę stworzenia otryckiego Al-
manachu/ wciąż poszukujemy. Zgodnie z intencjami autora przedstawia-
my ten materiał w formie surowej, tak jak powstał - bez tytułu, podpi-
su -twórcy, mając na uwadze nie chęć prezentacji konkretnej osoby,
lecz zawartych w osobistym przekazie treści.

Redakcja

Kirkut w Lutowiskach

Płyty kamienne
płyną w dół, ku wodzie
jakby w tęsknocie
za tą odrzuconą.

I całe zbocze
wraz z nimi wędruje
pałne ufności
w pradawne Przymierze.

Wierność i chwała
złuszcza się z kamienia
jak róży płatki
o niebieskiej woni.

Pobożne płyty
zstępują w dolinę
jak wyschłe kości
nim je wezwie prorok.

Spojrzenie z Otrytu na Ruskie

Mgła nad Ruskiem zaległa, pośród lasu -
jakież tajemnice kryje powolny jej ruch?

Mgła na polanach, gdzie droga kiedyś i studnie
i lot pszczoł i dym z kominów; taniec niedostrzegalny,
rozmodlony, choć nie odrasta spalne drewno
ani wstają z rzeki pobici...

Mgła, mgła nad Ruskiem, biała plama wśród
lasu - cóż na niej i jaki wiatr wypisze?

Ogród Hessa

W nagonce pił spalinowych
z lasu wyszły demony
bezskrzydłe, drewniane, koślawe.
Z przestraczem patrzą wokół siebie.

Tu Barabasza przybity do krzyża,
jego wielkie oczy wydziobuje wrona.

San oszalały niesie burą krew gór.
Drzewa kalekie rodzą kalekie rzeźby
zarażone rdzą i spalenizną.

SAMOOKRESLENIE

- to proces, w którym świadomość zaczyna odróżniać "ja" od "nie ja", to umiejętność odpowiedzi na pytania: dlaczego?, jak?, w jakim celu?, to nowa konstytucja świata - uporządkowanie go / a przede wszystkim siebie w nim/ w jakiś sposób. Samookreślenie jest nie tylko domeną jednostek, jest istotne na każdym poziomie życia społecznego.

x x x

Coraz częściej mówi się, a szczególnie pisze, o idei /a raczej ideach/ otryckiej, czym ona jest, jaka być powinna etc. Co ciekawsze, oprócz metafizyki rodzą się nowe pomysły i niewątpliwie to znak ożywienia w naszym światku. Chęta warto skorzystać ze sprzyjającej "koniunktury" i zachęcić Otrytczyków do trochę innego /od kawiarnianego/ spojrzenia na siebie. Komisarz napisał, że Klub jest taki, jacy są ludzie, którzy go tworzą. Nie sposób nie zgodzić się z tym twierdzeniem, może warto by pójść krok dalej i spytać: jacy rzeczywiście jesteśmy? Wydaje się, że Klub spełnia dla "środowiska" wiele funkcji - - najważniejsze to chyba: funkcje socjalizacyjne, integrujące, towarzyskie, terapeutyczne, samorealizacyjne. W różnych okresach działalności różne z tych funkcji pełniły ważniejsze role, co wpłynęło na takie czy inne określenie wzorów Otrytczka, czy otryckości.

To, co chcę zaproponować nie jest żadną nowością, pomysły tego rodzaju rożniły się już dość dawno, nawet częściowo doczekały się realizacji. O co mi chodzi? - o pewien typ samookreślenia za pomocą /w miarę/ obiektywnych narzędzi, jakich dostarczają badania socjologiczne i psychologiczne. O Otrycie, Klubie powstała już przecież praca magisterska Ewy Lewickiej-Banaszak, która ostatnio też podobno pisała na ten temat. Należy tylko ubolewać, że kopie tych prac nie znajdują się w Biblioteczce Otryckiej. To, co już zrobiła Ewa i mnóstwo zasłyszanych teorii - Klubu "dewiantów", "wyjątkowości" środowiska otryckiego świadczą chyba o zasadności podjęcia badań. Wydaje się, że mając wśród nas tylu ludzi- kompetentnych, skonstruowanie czy wybór narzędzi badawczych nie będzie problemem /większy widzę w uzyskaniu zgody u części Otrytczyków na swoisty ekshibicjonizm, jakim są badania/. Oczywistym jest, że wyniki badań dają tylko wąską i specyficzną perspektywę i nie odpowiedzą na wszystkie pytania, lecz chyba lepiej uzyskać cokolwiek niż nic.

PS: Andrzej Wiórko napisał, że Otryt, Klub są tematem, bodźcem raczej do działań artystycznych niż naukowych, a później: "Nie wolno szukać innego uzasadnienia dla Otrytu niż on sam, w przeciwnym bowiem razie skazujemy się na wyniszczające próby tworzenia niemożliwości" /BO nr 14/. Otryckość rzeczywiście stała się wartością autoteliczną, pojęciem "kluczem", które jednak nie dla każdego otwiera te same drzwi. Andrzej tworzy pewien wzór Otrytczyka - Otrytczyka przeżywającego i

artykułującego swoje przeżycia. Artysta w zasadzie nie ma potrzeby pytać dlaczego? - Wystarcza mu własny "eidos" i wena. Wydaje się, że w historii Klubu pojawia się jeszcze inny wzór Otrytczyka - Otrytczyka rozumiejącego, starającego się kształtować siebie /samokształcenie/ i innych /eksperyment społeczny/ republika otrycka/, pytającego dlaczego?, próbującego wyjaśnić. /Na tym gruncie teza o niemożliwości szukania zewnętrznego uzasadnienia dla Otrytu upada, to właśnie My i nasza działalność jest tym, co nadaje sens otryckości i Otrytowi/

Te dwa zaledwie zarysowane typy mają obrazować kierunki, w jakich podążamy i w jakich powinno się podążać, jeśli to, co otryckie ma być twórcze. Badania naukowe mogłyby być wstępnym etapem do odbudowy tego, co nazwałem wzorem rozumiejącym. Szczerze mówiąc, że wzory Otrytczyka przeżywającego i rozumiejącego nie wykluczają się, żaden nie jest bardziej otrycki - to tylko jak gdyby dwa różne sensy jednego nominatu - OTRYCKOŚCI.

Jarosław Frąckowiak

x x x

Na peryferiach kraju i myśli, w starożytnym polskim mieście Bieczu, marzy, rozmyśla i tworzy mój przyjaciel Andrzej Topczyj. Z ojca Kozak znad Donu oraz kontynuator starego litewskiego rodu, po matce zaś potomek sprowadzonych przez królową Jadwigę w końcu XIV wieku rękodzielników węgierskich.

Poznaliśmy się w okolicznościach nader osobliwych, latem 1986 roku w koszarach pułku piechoty. Jakby na przekór miejscu i sytuacji wiedliśmy tam długie, namętne dysputy na temat spraw ostatecznych i podstawowych, rozważając materię rzeczy subtelnych i wzniosłych. Zdobywaliśmy się na wytworną szczerłość, której obecnie tak niewiele, zwłaszcza w kręgach tzw. intelektualistów. Kiedy zmęczeni lub poirytowani milkliśmy Andrzej skwapliwie wypełniał każdą chwilę strofami Miłozda, Puszkina, fragmentami z Nietzscheo, wtrącając czasami swe własne utwory.

Kiedyś pokazał mi napisany poprzedniego dnia czy nocy wiersz pt. "Emigranci rosyjscy". Beztraska, lekka ręką przepełniła kielich mocną, wonną metaforą, od której zaszumiało mi w głowie. Polubiłem wiersz i autora.

PS: W końcu sierpnia Andrzej Topczyj wystąpi na Otrycie ze swoimi wierszami oraz specjalnie na tę okazję przygotowanym spektaklem - monodramą. Zapraszam!

Andrzej Wiórko

EMIGRANCI ROSYJSCY

Kiedy w ich życie wjechał dworzec,
Tak jak w topielca wjeżdża rzeka,
Żegnali się po kilka razy
Wiedząc że nie ma na co czekać.

Szybko rzucały ich pejzaże,
Jak znikające w dali żagle,
Więc zamykali się w wspomnienia
I chorowali na nostalgie.

Lub, rozpaczliwi jak czastuszki,
Czklankami pili siwe szczęście,
Aż znajdowano ich nad ranem
Z otwarta głowa w obcym mieście...

Innym, gdy księżyc stanął w nowiu,
A z łak napływał zapach siana,
Dokuczał taki nadmiar świata,
Aż odwracali twarz do ściany.

Sapiąc samowar ich odwoził
Ku polom Tuły, krymskim stokom;
I znów chodzili po Arbacie
Bunin, Remizow i Nabokov.

Po długiej drodze oddychali
Letniskiem na obrzeżu miasta;
I znów w wiśniowych sadach rosła,
Ta ich rosyjska "ljubow strasna"...

Ci, którzy chcieli być silniejsi
Od wiosek utopionych w zielsku,
Nie chcieli pisać żadnych listów
I się modlili po angielsku.

Wody z obrazów Lewitana
Szły w sale gdzie tańczono walca...

A rankiem Masze owijały
W śnie pogryzioną skórę palców.

Światło dnia gwarząc obcą mową
Pod ostre świsty wjuży śnieżnej,
Puszystą biel splatało w locie
W dławiającą pętle - nieobecność.

Andrzej Topczyj

POEZJA PŁOMIENI ALBO FENOMENOLOGIA SAMOTNOŚCI

Przed wielu laty Gaston Bachelard, kontynuując swe fenomenologiczne poszukiwania, napisał esej poetycki pt. "Płomień świecy" - książeczkę o zwykłym marzeniu. W godzinach nostalgii za myślami - zdaniem wolnymi od obowiązku erudycyjności i rygorów jednolitości metody badań ucielesnionych w wywodach ścisłych i surowych, zrodziło się wyznanie marzyciela kontemplującego samotny płomień, opowieść o marzeniu przeobrażającym pustkę wyizolowanej egzystencji w pełną zachwyty samotność poety. Tak oto wiara, iż można tworzyć książki z marzeń wydała owoc dojrzwały i wykwiśnięty zarazem. Jest ta książeczka także zgoła czymś innym - poszukiwaniem rozkoszy duchowej, realizacją przekonania, że duch wzbogaca się pracą myśli. Jest przyczynkiem do studium o samotności, do ontologii samotnika; przyczynkiem to o rzadkiej wprost gęstości onirycznej. Jest poetyckim zapisem przeżywanego w samotności dramatu materii, kosmosu; zapisem rozrywającego się w psychice marzyciela oczyszczającego pożaru świata.

"Płomień świecy" napisał Bachelard dla Nas. Choć brakuje stosownej dedykacji, choć dziełko jest starsze od większości z nas - nie mam wątpliwości, że zostało stworzone z myślą o Nas. Zbyt dobrze przecież znamy moc płomienia świecy, ognia na kominku, by mogły nas zmylić zewnętrzne okoliczności i daty.

Aby mogła zawiązać się rzeczywista wspólnota marzycieli płomienia trzeba nam wstąpić w krąg rozmyślań Mistrza Bachelarda. Niestety, nie dysponujemy wystarczającymi możliwościami, aby wydać dziełko w całości. Nie możemy także z niego zrezygnować! Dokonujemy zatem zabiegu okrutnego, acz koniecznego - wyboru szczególnie smakowitych fragmentów, zaznaczając, iż nie wyczerpują one nawet części bogactwa całego tekstu. Sądzymy, że wybrane myśli stanowią jakby mini-całości o odrębnym, sobie właściwym pulsie.

Wybór został dokonany na podstawie tłumaczenia zamieszczonego w miesięczniku "Poezja" nr 1 i 2/1969 r.

x x x

Niegdyś, w przeszłości tak odległej, że przez sny nawet zapomnianej, płomień świecy pobudzał mędrców do myślenia - samotnego filozofa obdarzał tysiącami dumań. Na stole filozofa obok przedmiotów uwiecznionych we właściwych im formach, obok ksiąg, które nauczają powoli, płomień świecy przywoływał natłok myśli, pobudzał do obrazowania bez granic. Dla marzyciela światów płomień był podówczas zjawiskiem świata. Studiowano system świata w grubych księgach, a oto zwykły płomień - o ironio wiedzy! - stawia bezpośrednio swój własny enigmat. Czy świat w płomieniu nie jest żywy? Czy płomień nie ma życia? Czy nie jest widzialnym

znakiem istności wewnętrznej, znakiem utajonej potęgi? Czy płomień ów nie zawiera wszelkich sprzeczności, które nadają dynamizm metafizyce elementarnej? Po co szukać dialektyk idei, skoro w sercu samego zjawiska mamy dialektyki faktów, dialektyki istnień? Płomień to być pozbawiony masy, a jednak być silny.

x

Spośród przedmiotów tego świata, które sprowadzają marzenie, płomień jest jednym z największych twórców obrazu. Płomień zmusza naszą wyobraźnię do pracy. Ilekroć zaczynamy marzyć przed płomieniem, to, co postrzegamy, jest niczym w porównaniu z tym, co wyobrażamy sobie.

x

Dla człowieka samotnego płomień jest światem.

x

Istota marząca, szczęśliwa, że marzy, aktywna w swoim marzeniu, ogarnia prawdę bytu, przyszłość istoty ludzkiej.

x

Ktokolwiek marzy o płomieniu, jest poetą potencjalnym.

x

Każde marzenie przy płomieniu cechuje zachwyt. Ktokolwiek marzy o płomieniu, wpada w stan marzenia pierwotnego. Ów zachwyt pierwotny tkwi korzeniami w naszej odległej przeszłości. Żywimy dla płomienia zachwyt naturalny, ośmielę się powiedzieć: wrodzony.

x

Zgodnie z jednym z najbardziej niewzruszonych praw marzenia przed płomieniem, marzyciel żyje w przeszłości nie będącej już jedynie jego przeszłością, żyje w przeszłości ~~pierwszych ogni świata.~~

x

Kontemplując płomień wracamy do ~~marzeń~~ marzeń odwiecznych i najpierwotniejszych.

x

Sny i marzenia nie modernizują się tak szybko jak nasze działania.

x

Wydaje się, że istnieją w nas zakątki, które tolerują jedynie światło chyboczące. Wrażliwe serce lubi wartości kruche. Znajduje wspólnotę z wartościami walczącymi, a więc i ze słabym światłem, bo i ono walczy z ciemnością.

x

Płomień odosobniony stanowi świadectwo samotności, samotności łączącej płomień z marzycielem. Dzięki płomieniowi samotność marzyciela przestaje być samotnością pustki. Dzięki słabemu światelku samotność staje się konkretna. Płomień uświetnia samotność marzyciela; oświetla zadumane czoło. Świeca jest gwiazdą niezapisanej kartki.

x

Chcecie być spokojni? Oddychajcie bez pośpiechu przy lekkim płomieniu, który wykonuje nieporadnie swoją pracę światła.

x

Gasnąca świeca jest umierającym słońcem. Świeca umiera łagodniej aniżeli gwiazda dnia. Knot się kurczy, knot czernieje. Z mroku, co zaciska się wokół niego, płomień czerpie swoje opium. I płomień umiera lekko: umiera zasypiając.

x

Kiedy świeca oświetla starą księgę mówiącą o płomieniu, powstaje krańcowa dychotomia marzeń i myśli.

x

Jeśli płomień drży to dlatego, że przeczuwa niepokój, który zmąci całą izbę. W momencie, kiedy płomień migocze, krew niepokoi się w sercu marzyciela. Na widok udreki płomienia, marzycielowi kurczowo zaciska się krtań.

x

A jeśli podniosę wzrok znad książki, żeby spojrzeć na świecę, zacznę marzyć.

Wtedy godziny falują wśród samotnego czuwania. Godziny falują między odpowiedzialnością wiedzy a wolnością marzeń, ową zbyt łatwą wolnością samotnika.

x

Noc, jestem sam, świeca oświetla książkę; książka i świeca, dwie wysepki światła przeciw dwojakim ciemnościom - umysłu i nocy.

Wyboru dokonał i wstępem opatrzył:

Andrzej Wiórko

BARAN METAFIZYCZNY CZY JADALNY

Dni niczym spłoszone stado owiec pędzą po połoninie lata i tylko patrzeć jak dopadną ostatniego tygodnia września, a wtedy... no właśnie. Tłumy wielbicieli Otrytu zapatrzone w stosowne na tę okazję zapasy produktów krajowych i zagranicznych gorzelni, winnic i browarów, zjadają się ze wszystkich stron w nadziei, że może właśnie tym razem, wyjątkowo, wbrew tradycji tradycyjny przecież baran będzie po prostu jadalny.

W dotychczasowych dziejach Otrytu ofiarą krwiożerczych upodobań Otrytczyków padło około 15 sztuk rogacizny kopytnowełnistej. I co? Po prostu nic się nie -mżenia i jeśli tak dalej będzie następne jagnię z rusztu po otrycku podobnie okaże się śmierdzącym, łykowanym, twardym jak gumowa podeszwa w środku i zwęglonym na wierzchu kawałem trudno zjadliwego ścierwa. Znowu trzeba będzie solidnej dawki środków stępiających wrażliwość zmysłów, by znalazła się grupa konsumentów - masochistów gotowych ryzykować ogólnym rozstrojem układu pokarmowego dla, wątpliwej wartości doznań zapachowo-smakowy ch. Oczywiście zdaje sobie

sprawę z faktu, iż w naszym gronie znajduje się /co prawda nieliczna/ grupa prawdziwych smakoszy, niekiedy o wyrafinowanych wręcz upodobaniach. Nie sędzę jednak, by świeży mózdzek prosto z uciętej głowy jagnięcia i baranie genitalia czy zupełnie surowe mięso znalazły zbyt wielu amatorów spośród pospólstwa otryckiego. Toteż zabierając głos w imieniu szerokich mas otryckich żądam, aby od tego roku baran przestał być li tylko symbolem, a stał się najzwyczajniej zjadliwą potrawą dla normalnego mięsożercy. Trzeba położyć kres praktykom zaspokojania, delikatnie rzecz ujmując, osobliwych upodobań kulinarnych.

Żądam baraniny dla wszystkich!

Niech baranina będzie baraniną!

Potrzebna nam jest nowa polityka kulinarna ze szczególnym uwzględnieniem problemu unowocześnienia technologii pieczenia barana. Należy poszukiwać najbardziej wydajnych metod. Trzeba zmieniać sposób myślenia i styl pracy. Krótko mówiąc konieczne są nowe przepisy na jagnię z rusztu. Ogłaszam akcję: każdy przepis na wagę złota!!! A oto moja propozycja:

Po zabiciu w sprawieniu składamy jagnię na kilka dni do ziemi, by ~~skuszało~~ muszało. Przedtem obmywamy tuszę zwierzęcia octem i osuszamy. Następnie owijamy szczelnie białym płótnem. Dół kopujemy w ogrodzie. Dawniej używano piwnic ziemnych. Pamiętajmy, by nie chować mięsa dwukrotnie w tym samym miejscu, bo czuć będzie stechlizną. Dół powinien być odpowiednio głęboki, gdy zachodzi obawa, że może zostać rozorzany przez psy i dzikie zwierzęta. Tuszę jagnięcia owiniętą w płótno składamy na dnie dołu i zasypujemy ziemią. Mięso kruszeje. Trzeciego dnia rozkopujemy ziemię i jagnię wydobywamy. Przed pieczeniem mięso parokrotnie płuczemy. Oczyszczamy je z tłuszczu, żył i błon. Warto też mocno zbić je pałką i na pół godziny zalać gorącym octem. Zabiegi te powodują, że mięso nabiera niezwykłej kruchości. Teraz głowę odciętą przy uboju łączymy na powrót z szyją. Do szyja używamy bardzo ostrej łukowo zakrzywionej igły i cienkiego, mocnego szpagatu. Płaty skórne naciągamy łącząc je dachówkowato. Na koniec osuszamy jamę brzucha i klatki piersiowej. Także powierzchnie zewnętrzne wycieramy płócienną ścierką. Następnie nakłuwamy mięso ostrym nożem, szpikujemy czosnkiem i solimy. Można też utrzeć czosnek z solą i tym natrzeć mięso. Niech tak poleży ze dwie godziny. Wreszcie wbijamy jagnię na rożen i obracamy powoli przy silnym ogniu. Smarujemy często piórkiem zmoczonym w maśle, aby pieczyście zrumieniło się szybko. Potem obsypujemy mąką i dalej smarujemy podstawiając brytfankę pod spód, by na nią ściekał sos. Przy silnym ogniu wystarczy piec półtorej godziny. Mięso w środku powinno być różowe jak rostbef. Wycięte uprzednio części wewnętrzne przyrządzamy oddzielnie. Język i żołądek gotujemy. Mózdzek i wątrobę smażyemy. Cynaderki baranie, które we Francji stanowią przysmak

u nas bywają odrzucone. Są pyszne jeśli przyrządzimy je umiejętnie. Przede wszystkim trzeba namoczyć je w kwaśnym mleku lub serwatce. Niech leżą tak całą dobę, ale mleko trzeba parokrotnie zmieniać. Zdejmujemy z cynaderek tłuszcz i błony, każdą nacinyśmy do połowy /jak nerki cielece/, aby się trzymały środkiem. Nadziewamy po dwie, trzy na jedną szpadkę, solimy, pieprzymy i smażyjemy na mocno rozgrzanej maśle, lub wkładamy na rożenek i polewając masłem pieczemy na prędkim ogniu nad węglami. Teraz zostaje już tylko mięso ładnie wydać.

/"Twórczość" nr 10/1986, ss. 85-86/

Wybrał i wstępem opatrzył:

Andrzej Wiórko

PODZIĘKOWANIE

Bardzo dziękuję wszystkim, którzy pomagali mi swymi mięśniami tudzież pomyslnikiem i dobrą radą w:

- myciu ścian,
- malowaniu,
- myciu okien,
- przewożeniu gratów i dobytku.

A to: Kazimierz Szcupłemu i Komisarzowi, Markowi Parzydło /dwa razy/, Jareckiemu, Bognie z mężem i dziećmi, Izie, Andrzejowi Pawlikowi, Markowi Kowalskiemu za dobre chęci i Andrzejowi Wiórko, choć się wzdraża.

Specjalne podziękowanie dla Prezesa.

Dziękuję też wszystkim, którzy mają ochotę mi pomóc /a jest w czym/.

Ariadna

WIERSZ NA TAK

Na tak pięknych polanach
tak szybko stygnie wieczór
a złotorudy las
pokrywa się łuską szronu.

Na tak pięknych polanach
tak szybko przychodzi noc
wydobytając zamęt
konturów i odcieni.

Na tak pięknych polanach
tak krótko można pozostać -
a one jeszcze pięknieją
gdy nas już nie ma.

Tadeusz A. Olszański